

Świat jest dancinikiem

TEATR | Z powieści „Morfina” Szczepana Twardocha, będącej sensacją ostatnich sezonów, powstał świetny spektakl. Reżyserką jest Ewelina Marciniak.

JACEK CIEŚLAK

Ta młoda reżyserka dołączyła w ten sposób do krajowej czołówki dzięki przedstawieniu Teatru Śląskiego pokazanym na katowickim festiwalu „Interpretacje”. Spektakl o Konstantym Willemanie, oficerze Wojska Polskiego, morfiniście z powikłanym śląsko-polsko-niemieckim rodowodem, który zmaga się turbulencjami II wojny światowej, nie jest co prawda jeszcze idealny. Jednak rodzaj energii, jaka w nim wibruje, delikatna swingująca zmysłowość oraz pikanteria wolna od dosadności i wulgarności przekonują, że Marciniak jest na drodze do stworzenia własnego języka teatralnego.

Jedna z najgłośniejszych książek – nagrodzona Nike i Paszportem „Polityki” – dzięki adaptacji Jarosława Murawskiego została uwolniona od literackich kalk, stereotypów i ideologicznych uproszczeń. Zamiast ludzi-plakatów i publicystyki otrzymaliśmy żywe charaktery.

Ton spektaklowi nadaje swingujące trio Chłopcy kontra Basia. W książce była scena w warszawskiej Adrii. U Marciniak cały świat jest zwiariowanym dancinikiem, podszytym erotyką, podkreconym morfiną i szampanem. Moda i tańce z przełomu lat 30. i 40., wydekoltowane damy, dziwki i arystokraci, a także mundury wypadają bardzo sexy.

Pokazana z tej perspektywy wojna przestaje być wyłącznie



♦ Paweł Smagała (Konstanty) i Aleksandra Fielek (Dzidzia) w katowickiej „Morfynie”

martyrologicznym zmaganiem Armii Krajowej z III Rzeszą. Polacy, Niemcy, tak jak w każdej epoce, kochają się, romanują, zdradzają, szukają szczęścia i sensu egzystencji. Ekstremalnie, co wymusza widmo śmierci.

Śląskie korzenie Konstantego sprawiają, że schemat Polaka patriotę bez skazy przestaje być wiarygodny. Szczególnie w Katowicach i na Śląsku polska brawura i bohaterstwo wywołują politowanie. Matka Polka nie brzmi dumnie, lecz histerycznie. Główny bohater kolaboruje z Niemcami nie tylko dlatego, że wymagają tego przełożeni z konspiracji. On nie ma przekonania do tak niepewnej egzy-

stencji, jaka łączy się z byciem Polakiem. Dobrze oddaje to zdystansowany, lekko wyzywający styl gry Pawła Smagały. O klasie spektaklu świadczy również ujęcie tytułowego motywu. Reżyserka nie katuje widzów końską dawką narkomańskich odlotów. Wystarczy, że w kilku scenach Konstantego i jego kochankę Salome spowija złoty pył i odpływają ponad sceną w obłądnych, miłosnych akrobacjach (choreografia Dominika Knapik). Wszystko płynie.

Reżyserka zamiast opowiadać i ilustrować koncepcje Twardocha, dociera do widzów obrazami opartymi na skrótach, emblematkach i symbolach. Esesmani podczas

upiornego baleciku, jak w koszmarze, mają wilcze łby, a Salome – twarz Hitlera. Sceny bójk przypominają lunatyczną clownadę, jazda samochodem zaś zabawę dzieci, które kręcą wymyśloną kierownicą.

Septycyzm wobec polskości pokazuje spotkanie z Janem Chochołem, królem polskiej niemocy i chaosu. Finałowy monolog przekonuje, że wszystkie próby ujęcia życia w formuły i zasady są skazane na klęskę. Jedynym sensem życia jest ono samo – i to najczęściej w przejawach odbiegających od zasad moralnych. To życie, często złe i podłe, jest tytułową morfiną, od której trudno się uwolnić. ■